

Algis Budrys

Nieść cywizację

(To Civilize)

Future Science Fiction, January 1954
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the short story "To Civilize" by Algis Budrys.

This etext was produced from Future Science Fiction, January 1954. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Po tak wielu latach, po tak wielu pokoleniach, Ziemianie wracali do siebie – pokojowo podporządkowując się nakazowi wygnania. Co to miało znaczyć? Dlaczego Ziemianie pozwolili się wygnać?

Nie było widać księżyca ani żadnej gwiazdy; niebo było całkowicie zachmurzone. Światła lądowiska kosmicznego tworzyły w górze żółto-biały parasol, rozpięty na srebrzystych refleksach rzucanych przez stojący na stanowisku startowym statek. Wielkie korbowody przy włazach ładunkowych, klekotały łańcuchami z dziwnie nieproporcjonalną głośnością. Z wyjątkiem stałego strumienia dźwięków wywoływanych przez powstające w metalowych konstrukcjach naprężenia, lądowisko było niemal zupełnie ciche.

Czy nie jest za cicho? Pomyślał Deric. Czy nie jest to cisza czająca się przed frontem burzy, w oczekiwaniu by rozdarł ją na strzępy nagły podmuch zrywającego się wiatru, jak huragan wyrrywający się z tropików i z wyciem rzucający się na swoje ofiary?

Czy właśnie w taki sposób ma się to zakończyć? Deric oparł się całym ciężarem o balustradę tarasu widokowego, a jego biczowate ciało wyciągnęło się, jak mocno naprężona wstęga. Światła lądowiska odbijały się na wypolerowanej czerni jego boków i połyskiwały na bujnych srebrzystych pęcherzykach wyrastających na grzebieniu. *Czy takie właśnie jest przeznaczenie Ziemi?*

Oprócz kilku pełnych gracji ciał jego rodaków, którzy zarządzali milczącym strumieniem wózków z ładunkiem, wlewających się z zewnątrz do statku, na całym lądowisku nie było żywej duszy. Nawet za wielkimi wrotami włazów ładunkowych, nie dało się dojrzeć ani śladu ruchu. Pod nim, na parterze, Galaktycy czekali w swojej wielkiej hali na zakończenie załadunku. Wtedy rozpocznie się procesja ludzi, obciążonych bagażem osobistym, zmierzająca przez lądowisko do statku. Kobiety będą nieść lub prowadzić dzieci, zaś mężczyźni kroczyć u ich boku.

Z początku, kiedy nakaz został opublikowany, Deric spodziewał się, że mogą pojawić się kłopoty. Galaktycy nie byli specjalnie łagodną rasą. Chociaż byli dosyć niezależni jeśli chodzi o ich codzienne sprawy, a nawet czasami spierali się ostro między sobą, widział już, że każde zagrożenie spaja ich w jedną zwartą grupę, działającą z wysoką i swobodną efektywnością. A trzeba przyznać, że mieli wszelkie prawa, aby można było oczekiwać z ich strony jakiegoś rodzaju demonstracji.

Nie wydarzyło się nic. Galaktycy bez szemrania sprzedali swoją własność rządowi oraz szybko i w spokoju rozporządzili innym niekluczowym majątkiem. Ich dzieci zostały wycofane ze wszystkich klas i

grup specjalnych, do których uczęszczali; powiedziano sobie do widzenia; i teraz, zaledwie miesiąc GST po wydaniu nakazu przez rząd Voroseii, Galaktycy opuszczali Voroseith, aby nigdy już tutaj nie wrócić.

Nigdy? Nawet w tej chwili, Deric nie był w stanie w to uwierzyć. Nakaz był jasny i miał obowiązek wykonalności, ale widział już w swoim życiu wiele praw łagodzonych lub uchylanych wraz z upływem czasu.

Albo, jeśli już o tym mówimy, znoszonych pod presją.

Czy tak będzie i z tym? Deric słyszał wiele opowieści o GSN i wielkich zielonych statkach, pluących ogniem słońc z niezliczonych dział. Czy ludzie z Ziemi nie opuszczają czasami Voroseith tylko po to, aby planeta ta stała się otworem na bombardowanie z przestrzeni kosmicznej?

Nie, ta możliwość była już wcześniej długo rozważana i została odrzucona. To prawda, że żadna pojedyncza planeta nie była w stanie przeciwstawić się Federacji. Nie potrafiła tego dokonać nawet cała grupa układów słonecznych. Lekcja wynikająca z secesji Ardańskiej, ciągle była jeszcze świeża i budziła grozę. Ale bezpieczeństwo Voroseith leżało w samym fakcie, że była to pojedyncza planeta, stosunkowo mało ważna dla Federacji, jako całości. W porównaniu z flotą GSN, jej własna marynarka składała się z nieznaczącej garstki statków. Ale każdy z nich, statek w statek, był tak samo śmiertelnie niebezpieczny i cena ewentualnego podboju byłaby zbyt wysoka – zbyt wysoka w porównaniu z korzyściami, jakie mógłby on przynieść. Nie powinno być wojny.

A jednak... dlaczego nie było żadnych protestów? Galaktycy mieli tutaj, na Voroseith, domy i dobytek. Na tej planecie urodziły się i wychowały już wnuki Pierwszych Przybyszy. Całymi setkami zawiązały się przyjaźnie, relacje biznesowe, różnego rodzaju związki. Powszechnie kochana była tutaj tak dziwna, złożona forma sztuki, jaką była opera. Dericowi będzie brakować nowych librett pisanych przez Berkeleya, ponieważ nikt inny nie potrafił równie dobrze pracować z Marto Lihhem.

Sama Federacja nie zrobiła kompletnie nic, poza przydzieleniem transportu. Wszystkie odniesienia do nakazu, miały charakter konwencjonalny, zdawkowy, tak jakby cała zaistniała sytuacja, była poza dyskusją.

Nie mógł pozwolić, aby Galaktycy odlecieli, pozostawiając go bez odpowiedzi. Odepchnął się od barierki i szybko ześlizgnął po rampie zejściowej, do pomieszczenia, w którym oczekiwali ludzie z Ziemi.

Tutaj również panowała cisza; nawet dzieci były bardzo spokojne. Galaktycy siedzieli rzędami na ławkach, zwrócenie do siebie twarzami ponad wąskimi przejściami. Nie było słychać żadnych rozmów, ale grupy przyjaciół usiadły razem i od czasu do czasu, ludzie wymieniali przez przejścia między ławkami uśmiechy czy skinienia głową.

Kiedy Deric wszedł do środka, w jego stronę odwróciło się kilka głów. Po rozpoznaniu go, na każdej z nich pojawił się przyjazny uśmiech. Kilku Ziemian oddaliło się od swoich grup i podeszło do niego.

— Deric! — To był Morris, jeden z ludzi, pracujących razem z nim w muzeum. Galaktyk szybko podszedł do niego i położył rękę za głową Derica, w spokojnym i przyjacielskim geście powitalnym. Deric delikatnie dotknął delikatnie swoją prawą ręką, ręki Ziemianina.

— Tak sobie myślałem, że może zajrzysz tu do nas — powiedział Morris. Jego twarz była pełna żalu, z powodu wyjazdu.

Teraz, kiedy znalazł się tutaj, wśród nich, Deric nawet jeszcze bardziej niż wcześniej poczuł niezwykłość tej sytuacji. Nigdy przedtem nie widział większej grupy Galaktyków, nie widząc pośród nich swoich rodaków. Poczuł się dziwnie, nagle uświadamiając sobie, że był to wybór wszystkich Galaktyków mieszkających na Voroseii – że większość tych ludzi znała się słabiej ze sobą, niż z poszczególnymi Voroseii, pomiędzy którymi żyli i pracowali. Tym niemniej, nagle stali się oni jednorodną i wydzieloną grupą, poprzez prosty fakt, że wszyscy byli Galaktykami.

Można było uznać cały ten problem, za coś w rodzaju intelektualnej zagadki, w świetle czynników ekonomicznych, które uczyniły niezbędnym wydanie takiego nakazu. Ale Morris był jego przyjacielem i współpracownikiem, tak więc sytuacja stała się osobistą, polegającą na utracie dobrego przyjaciela, na tym, że już nigdy więcej nie zobaczy jego rodziny, na konieczności przyzwyczajenia się, że Dzień 184 GST nie był już urodzinami Susan Morris.

— Chciałem się z tobą zobaczyć — powiedział Deric. — Nie jestem pewien, czy powinienem być tutaj, ale... — Przerwał, niepewny swoich słów. — No cóż...

Morris uśmiechnął się.

— Dzięki, Deric.

Teraz z kolei, zaczęli wymieniać z nim pozdrowienia inni Galaktycy, którzy do niego podeszli. Każdy z nich, tak jak Morris, okazywał równie wielki żal jak sam Deric.

Zobaczył Berkeleya, siedzącego z ponurym wzrokiem, samotnie na końcu ławki. *Jak on to odbiera?* zastanawiał się Deric. Zwrócił się do Morrisa.

— Ja... czy byłoby możliwe, żebym z nim porozmawiał? Przecież wiesz, jak bardzo podziwiam jego dzieła.

— Nic prostszego — odparł Morris. — Choć ze mną.

Deric podążał za swoim przyjacielem, przez podłogę poczekalni. Kiedy przechodził obok siedzących Galaktyków, bez trudu mógł dostrzec takie same ślady smutku w ich oczach — smutku, ale pozbawionego oznak protestu czy buntu.

Berkeley po słowach Morrisa uniósł wzrok.

— Deric Liss? — Przeniósł spojrzenie na Derica. — Oczywiście. — wyciągnął rękę i ciepło dotknął karku Derica. — Czytałem pańską „Historię Kultury”. Jedna z najbardziej wartościowych książek, jakie kiedykolwiek widziałem.

— Dziękuję panu — powiedział Deric, z rozjarzonymi oczyma. Kompletnie zaambarasowany, poczuł, że jego ciało nieelegancko się przekrzywia. — Zawsze byłem wielbicielem pańskich dzieł — dorzucił, świadom niezgrabności swojego stwierdzenia. Ponieważ padło ono po

komplementem Berkeleya, zabrzmiało bardziej jak jakieś protekcjonalne poklepanie po plecach, a nie szczerzy podziw, który miał zamiar wyrazić.

Berkeley jednak uśmiechnął się, skóra w kącikach oczu zmarszczyła mu się.

— Nigdy już nie będę miał okazji współpracy z kompozytorem takim jak Marto Lihh. — Ślad poprzedniego zamyślenia powrócił mu na twarz.

Deric już nie był w stanie utrzymać na wodzy swojego zainteresowania. Popatrzył na Morrisa i Berkeleya.

— Nie mogę tego zrozumieć — oznajmił, głosem pełnym niepewności. — Dlaczego stąd odlatujecie? Albo, jeżeli już musicie odlecieć, dlaczego nie... — Pozostawił zdanie zawieszone w powietrzu. Nie pyta się człowieka dlaczego nie jest dotknięty niesprawiedliwością, którą mu się wyrządza.

— Dlaczego nie okazujemy naszej słynnej ziemskiej agresywności? — spytał, uśmiechając się, Berkeley.

— Tak. — Kompletnie zakłopotany, dodał jeszcze. — A pan, człowiek, który pozostawia tu wszystko co kochał i dla czego tworzył. Czy nie czuje pan co najmniej gniewu, za to co zrobiliśmy?

Berkeley pokręcił przecząco głową.

— Gniewu? Przecież wasza planeta jest przeludniona. W tym układzie nie ma innych planet nadających się do życia, a więc wszyscy, tak jak tu stoimy, konkurujemy z wami o tę przestrzeń życiową, która jeszcze pozostała. To całkowicie naturalne, że wasz rząd musi brać pod uwagę dobro swoich własnych obywateli. Pomimo wszystko, my jesteśmy tylko obcą rasą; to jest wasza planeta i macie prawo zrobić z nią to, co zechcecie. Z punktu widzenia pańskich rodaków, powiedziałbym, że nakaz naszego wyjazdu, był bardzo mądrym ruchem. Jestem pewien, że reszta z nas, odbiera to w taki sam sposób.

Morris potwierdził skinieniem głowy.

— Ale Federacja...

— Federacja jest dokładnie tym, czym jest – to nie imperium. Macie przywileje związane z członkostwem... i również prawa — wskazał Berkeley. Jeżeli nawet czuł osobistą stratę, skrywał ją gdzieś w głębi siebie.

— Nadal nie rozumiem. Kiedy secesji dokonała grupa Ardańska, reszta Federacji odmówiła zgody na to — zauważył Deric.

Twarz Berkeleya zachmurzyła się.

— Secesja Ardańska była zbrojnym powstaniem, zrodzonym ze sfrustrowanych ambicji i chorej żądzy władzy. Spowodowana została wyłącznie przez dążenie Ardan do odzyskania kontroli nad Federacją.

— Ale działania te w ich oczach, były równie usprawiedliwione jak nasze są w naszych — zaprotestował Deric.

Berkeley uniósł głowę.

— Być może... ale co pan powie o ardańskich rozłamowcach? Czy nie była to oznaka, że nawet sami Ardanie nie wszyscy zgadzali się z polityką własnego rządu?

— Ja też nie apróbuję działań naszego — odparł Deric.

Berkeley uśmiechnął się.

— Chodzi panu o to, że działania te uderzają pana, jako nazbyt skrajne; i uczucie to wzmacniane jest przez fakt, że poddaliśmy się nim bez żadnego przeciwdziałania, które mogłoby je emocjonalnie usprawiedliwiać. Gdybyśmy próbowali walczyć, mógłby pan przynajmniej poczuć, że pozbycie się tych kłótliwych Ziemi, może jednak przyniosło jakieś korzyści.

— Tak... — przyznał powoli Deric, mocno zawstydzony. Nigdy nie analizował tego aż tak dogłębnie.

— Ale nie jest pan aktywnie rozgniewany z powodu tego nakazu — kontynuował Berkeley. — Współczuje pan nam, ale nie uważa pan, aby ta sytuacja była oburzająca.

Galaktyk miał rację. Deric miał okazję ponownie poczuć skręcający wstyd.

— Nie wiem co powiedzieć — wymamrotał.

Librecista uśmiechnął się ponownie.

— Nie ma potrzeby — ciepło oznajmił. — Od samego początku zdawaliśmy sobie sprawę, że pewnego dnia coś takiego nastąpi. Zaakceptowaliśmy to, tak więc, nie było to dla nas specjalnym wstrząsem.

Deric zauważył, że na pierwszy plan jego uczuć ponownie wysuwa się zaniepokojenie.

— Ale wobec tego, dlaczego w ogóle tutaj przylecieliście? Popatrzmy tylko na historię ostatnich trzech generacji. Po tym jak skontaktowaliśmy się przez statek próbnik, przybyliście tutaj, osiedliście w obrębie naszej cywilizacji i zaczęliście żyć obok nas. Bardziej niż obok. Dążyliście do realizacji tego samego celu co my – do postępu voroseithańskiej kultury i cywilizacji. Zaczęliście mówić w naszym języku. Nigdy nie zrobiliście niczego, co przyniosłoby korzyści tylko Federacji, albo Ziemi. To wyglądało tak jak gdyby... jak gdyby sami staliście się Voroseii, i całkowicie przestali być obcymi przybyszami.

— To było wręcz trudne do uwierzenia. Spodziewaliśmy się nałożenia podatków albo jakiegoś rodzaju opłat. Oczekiwaliśmy, że przyniesiecie nam swoją sztukę i swoje systemy naukowe, aby złączyć naszą kulturę z waszą. A teraz, wy sami, chociaż jesteście Galaktykami, to pomimo wszystko staliście się również Voroseii. Jeżeli wiedzieliście, że kiedyś będziecie musieli stąd odlecieć, to dlaczego uczyniliście Voroseith domem, dużo bardziej prawdziwym, niż była nim jakakolwiek inna planeta?

Przez twarz Berkeleya, który pisał poezję taką, jaką mógłby napisać tylko Vorosei, myśląc w kategoriach skali sześciotonowej, przebiegł błysk smutku.

— Tak, jestem w stanie sobie wyobrazić, że mogliście spodziewać się czegoś podobnego. Tak właśnie postępowali Ardanie, kiedy to oni kierowali Federacją. Masz rację i równocześnie jesteś w błędzie.

Uśmiechnął się niemal z żalem.

— Tak, Voroseith jest naszym domem i będziemy za nią tęsknić. Tym niemniej, jednak, pracowaliśmy dla dobra Federacji. Musieliśmy zachowywać się tak, jakbyśmy mieli zamieszkać tutaj na zawsze – więcej niż zachowywać się, musieliśmy uwierzyć, że na zawsze tutaj zamieszkamy. Mieliśmy poświęcić całą naszą energię i zapał, aby pracować dla rozwoju Voroseith. To był... — Zawahał się i, przez chwilę na jego twarzy pojawił się wyraz zagubienia. — To był dla nas prawdziwy szok, kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że nasza praca została zakończona, że Voroseith jest już gotowa do wyjścia w przestrzeń międzygwiazdną.

— W przestrzeń międzygwiazdną? — Deric poczuł, że plecy wyginają mu się w łuk, ze zdziwienia.

Morris skinął potwierdzająco głową.

— Ten moment się zbliża. To dlatego musieliście mieć swoją własną Marynarkę. Dzięki niej opracowaliście niezbędne techniki.

— Ale Galaktyką rządzi Federacja. Czy pozwolicie nam wkroczyć na wasze terytorium?

Znowu odpowiedział mu Berkeley.

— Federacja nie rządzi niczym. Nie można nikomu narzucić cywilizacji siłą. Teraz wasza kolej, jako członków ruchu cywilizacyjnego, aby wyruszyć w kosmos i przekazać to co posiadacie innym ludom. Kosmos jest pełen planet i ludów. Ziemia kieruje Federacją, to prawda, ale nią nie rządzi – nie robi tego nikt. Wypracowujemy pewne wspólne więzy cywilizacyjne między nami – ale mówimy tu o cywilizacji jako o pojęciu abstrakcyjnym – nie jako o sztywnym uniwersalnym wzorcu jakiegoś rodzaju, do którego każda odmienna kultura musi zostać przekuta i siłą dopasowana, wtłoczona w jakieś sztywne ramy, do których nigdy specjalnie nie pasowała.

— Nie próbowaliśmy przecież zmusić was, abyście prowadzili swoje sprawy na nasz sposób, co nie? — spytał Morris.

Deric pomachał przecząco ręką.

— Nie... nie, nie robiliście tego. Uczyliście się od nas, a potem staliście się tylko grupą osób pracujących nad polepszeniem poziomu naszej cywilizacji. Przynieśliście ze sobą świeże spojrzenie na wiele problemów; ale było to spojrzenie wyrastające z korzeni naszej cywilizacji, nie waszej.

Przerwał.

Zatrzeszczał głośnik:

— Cały ładunek został już załadowany na statek. Pasażerowie proszeni są o przejście na pokład. — Głos dyspozytora stracił swoją bezosobowość. Kolejny Vorosei mówiący do widzenia swoim przyjaciółom. — Żegnajcie, Ziemianie.

Rzędy siedzących Galaktyków, wstały, nadal w niesamowitej ciszy, pomimo szurania butów, hałasu przesuwanych i podnoszonych bagaży.

— A więc, teraz będziemy w kosmosie obok was? — spytał Berkeleya Deric.

Galaktyk przytaknął głową.

— Kiedy grupy, takie jak nasza, opuszczają jakąś planetę, to historyczny znak, że inna rasa gotowa jest wyruszyć do gwiazd, cywilizowana, aby nieść cywilizację.

Deric poczuł napływ wzbierającej w nim dumy.

— Czyli, to był etap, tak samo jak okres ze statkiem próbnikiem, w trakcie którego zostaliśmy wyszkoleni.

Morris pokręcił przecząco głową.

— Nie wyszkoleni. Statek próbnik był testem, to prawda – ale testem zaprojektowanym tak, by mierzyć tylko waszą zdolność do zrozumienia pojęcia istnienia innych ras poza waszą, oraz gotowości do przyjęcia faktu, że podróże międzygwiazdne są możliwe. Dlaczego mielibyśmy was szkolić? Nasza cywilizacja pod żadnym względem nie jest lepsza od waszej – a w dodatku w kosmosie jest tak wiele różnych ras, zaś Ziemiaków tak dalece za mało, by nawet w minimalnym stopniu usprawiedliwić jakąkolwiek próbę skłonienia was, do załatwiania waszych spraw w sposób, w jaki robimy to na Ziemi.

— Nie, my zostaliśmy tutaj wysłani wyłącznie w celu przyzwyczajenia was, do pracy u boku innych ras. Nie jesteśmy instruktorami – jesteśmy współpracownikami.

Większość Galaktyków przeszła już przez drzwi, które prowadziły na dwór, na lądowisko. Morris i Berkeley ponownie dotknęli karku Deric.

— Do widzenia, Deric — powiedział Morris.

Berkeley nagle sięgnął do swojego bagażu i wyciągnął plik ręcznie zapisanych kartek.

— Chciałbym, żebyś to przyjął, Deric.

Deric spojrzał na górę pierwszej strony.

— Ależ... ależ to jest oryginalny rękopis Eposu Llersthein!

Berkeley skinął głową.

— Weź. Ja znam to na pamięć. A tam, gdzie lecę, nikt tak naprawdę tego nie zrozumie.

Deric popatrzył na Galaktyka. Ponure oczy, odpowiedziały mu spojrzeniem, i, chociaż tak naprawdę nie był to ktoś z jego rodaków – a teoretycznie wyraz twarzy przedstawicieli jednej rasy powinien być niezrozumiały dla pochodzących z innych – Deric odczytał, co leżało w umyśle stojącym za tym spojrzeniem; nawet nie przyszło mu do głowy, że w fakcie tym, było coś nadzwyczajnego.

— Dziękuję — powiedział i układem dłoni oraz skrętem ciała przekazał Berkeleyyowi, jakie emocje kryły się za tym słowem.

Dwaj Galaktycy wzięli swoje bagaże, zarzucili je sobie na ramię i dołączyli do czekających na nich członków rodzin.

Deric został tam gdzie stał, przyglądając się jak odchodzą, przez cały czas próbując uchwycić to, co na wpół dostrzegał, na wpół rozumiał. Wiedział również, że chodziło o coś istotnego. Wyjaśniało to, bardziej niż smutek, panującą w poczekalni ciszę, dziwne uczucie, które rozbiło Galaktyków na wiele małych grup, ograniczających się do członków rodziny oraz najbliższych przyjaciół.

Tak jakby byli w niebezpieczeństwie...

Strach! Oni się czegoś bali! Morris, Berkeley – wszyscy.

Zobaczył, że doszli już do drzwi i czekają aż wyjdą ich rodziny. Napiął mięśnie i rzucił się do przodu gwałtownym ślizgiem.

— Poczekajcie!

Berkeley i Morris odwrócili się do niego, z pytającymi twarzami.

— A dokąd wy się udacie? — zapytał Deric. — Co macie zamiar dalej robić?

— Nie wiem — odparł Berkeley.

— Po prostu, nie wiem — powtórzył powoli. — Mają nas zabrać na Ziemię.

Teraz Deric widział już wyraźnie niepewność w ich oczach, wahanie oraz zimną iskierkę lęku.

— Musimy już iść — z nagłą szorstkością oznajmił Morris. Szorstkością będącą wynikiem napiętych jak struny nerwów, gotowych grać i wibrować, czekających tylko na jeszcze jeden dodatkowy kamyczek do spoczywającego na nich brzemienia, aby pęknąć i strzelić ze śmiertelnie niebezpiecznym skutkiem.

Berkeley uśmiechnął się do Derica, ale wzdłuż jego szczęki wyraźnie widać było białe plamy. Łagodnie położył rękę na karku Derica.

— Lubię to miejsce — ze smutkiem wyznał. — Urodziłem się tutaj, tak samo jak mój ojciec. — Wyjrzał przez panele drzwi, i, dokładnie w tej samej chwili, w chmurach pojawiła się dziura, przez którą wlało się światło gwiazd.

Berkeley skrzywił się, jakby go coś uderzyło. Potem otrząsnął się i szeroko się uśmiechnął – był to bojowy uśmiech, znak firmowy Ziemiaków. Tym niemniej w jego głosie słychać było cień udręki, kiedy stwierdził:

— Zastanawiam się, jaka ta Ziemia będzie.

— Chodźmy! — powiedział Morris i na wpół przepchnął Berkeleya przez drzwi. Morris uniósł dłoń w ostatnim pożegnaniu skierowanym do Derica, a potem z ręką na ramieniu Berkeleya, odwrócił się i machnął przepraszająco za nerwowość ich przyjaciela.

Deric spoglądał za nimi, czując pierwsze przebłyski zrozumienia, przesączające się do jego świadomości, i zdając sobie sprawę z tego, że te przebłyski spotężniają i łączą się w prawdziwą rzekę. Kiedy to się stanie, lepiej żeby był bardzo, bardzo zajęty jakąś pracą, której nie może popsuć drżenie rąk, ani rozmyty wzrok.

Jak to niedawno posiedział dyspozytor? „Żegnajcie Ziemiaków?” Pokręcił głową, z nabytą ziemską manierą, odwrócił się i pomknął w górę rampy, na taras obserwacyjny. Przyglądał się, jak ostatni Galaktycy zmierzają do oczekującego na nich statku.

— Żegnajcie Vorosei — powiedział miękko, kiedy jego bracia szli bez słowa protestu na wygnanie.

KONIEC